



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Dzwonki wiosenne.

I.

Ponad pasem szarych błoni,
Coś tam w górze dzwoni, dzwoni...
Śniegiem straszy chmurny dzionek,
Zimny wicher dmie żałośnie,
Lecz już w gniazdku swem skowronek
Gdzieś podsłuchał wieść o wiosnie.
Więc z tą wieścią od świtania
Wzleciał w górę jako goniec,
I gardziółkiem swem wydzwania,
Powrót wiosny, zimy koniec.

II.

Po samotnym, głuchym lesie,
Jakieś szmery wietrzyk niesie.
Wstawać! wstawać! marzec mija,
Z nim złowrogie zawieruchy!
Nie napróżno... bo rozwija
Już sasanka wiotkie puchy.
— Oto słyszę! oto jestem!
Wiosno! bierz mnie w lube dłonie,
Jam twój dzwonek, więc szelestem
Leśnej braci pierwsza dzwonię.

III.

A głos tajny dalej leci:
Wstawać! wstawać! kwietnia dzieci!
Więc się budzą dookoła,
Trawki, listki, zioła, kwiaty,
I podnoszą sennie czola,
Odrodzenia biorąc szaty.
Całe w blaskach, w jaskrów złocie,
Łąki nęcą wdzięki swemi,
Wschodzą kwiatów setki, krocie,
Jak gwiazdeczki na tle ziemi.

IV.

Wyżej, wyżej, z każdej strony,
Wiosna życia wstrząsa dzwony...
Wszystko zrywa się z wywczasu,
Zdobiąc, strojąc, barwiąc ziemię.
Tylko jeszcze w głębi lasu
Konwalijka wonna drzemie.
Wtem zrodzony w jasnym słońku,
Grot promienny ją ugodzi:
Tobie spać tu Maryi dzwonek!
Gdy Jej miesiąc już nadchodzi?

V.

Na ten głos, co z słońcem splywa,
Nić się długiej drzemki zrywa.
Przyszły już Zielone Święta,
Wiosna wiosna! raj na świecie!
Nikt o zimie nie pamięta.
Stoją chaty, jak w bukicie —
Niech tak dusze w kwietne pąki
Cnót się zdobiją i uniesień:
Kto siał wiosną z hojnej ręki,
Temu plenną będzie jesień

E. L.



Na Bielanach,

przez Z. MORAWSKĄ.



nie zapomnij też moja jejmość włożyć do kosza ze dwie buteleczki tego wystającego miodu! — rzekł pan Maciej Glinarz, majster kunsztu garncarskiego.

— Jeszcze czego; miód może się zdać dla jakich dostojnych gości, a choćby na wesele Marychny — ofuknęła jejmość Domicela, godna małżonka Macieja.

— Ty wiesz jedno, a ja wiem drugie, a kiedy powiadam, wziąć, to wziąć! — rzekł małżonek stanowczo.

— Lepiejbyś myślał, żeby towar się nie potłukł, a jak najraniej wyjechać...

— Nie jejmości w tem głowa! jakom cię zwolnił od siadania nad towarem, tak cię też zwalniam od wszelkiego frasunku co do przewiezienia i ustawienia onego! — przerwał niecierpliwie pan Maciej.

I nie spoglądając na kosze naładowane już do połowy rozmaitemi prowiantami, wyszedł z izby.

— Czego mu się to zachciewa, że się dorobił jakiego takiego grosza, w pana zaraz chce się zabawiać i miód na Bielanach popijać — mówiła gderliwym głosem pani Maciejowa.

Gderając wszakże na męża, pakowała do kosza, przy pomocy najstarszej swej córki Marychny i ślicznie upieczone, suto cukrem i rodzynkami posypane placki i duże rumiane prosie, które wyglądem swoim świadczyło, iż wewnątrz musiało być znakomicie nadziane, i rozmaite paczki i pacuszki. Ze zaś wszystko było w kawałki płótna powijane, nie można było dostrzedz, co tam w nich było. Ale nikt nie wątpił, że w drugie święto Zielonych Świątek, przy wesołej ochocie na Bielanach, nikomu z rodziny i domowników pana Macieja, jadła nie zabraknie. Ba, i gość, gdyby się przysiadł, setnie mógłby się pożywić.

Pan Maciej tymczasem poszedł do warsztatu, skąd jeszcze ostatnie garnki i garnuszki, misy i miseczki, oraz świstawki i rozmaite dziecinne zabawki terminatorzy wynosili, owijali słomą lub pakułami i na stojący wóz, również doskonale słomą wymoszczony, uważnie i ostrożnie pakowali.

— Tatulku, ja dzban sam wezmę i przez całą drogę będę trzymał, żeby się nie stłukł — odezwał się Marek, czternastoletni syn pana Macieja, wskazując na duży dzban misternej roboty.

— Weź, weź, a jakoś sam zrobił, tak i sam powinienś baczyć, żeby się nie stłukł — odrzekł ojciec.

I z lubością spojrział na syna a potem dodał:

— Pokażno, jeszcze się raz przypatrzę!

I wziął z rąk chłopca wielki dzban i począł go na wszystkie strony oglądać.

A miał też czemu się przypatrywać. Na powierzchni bowiem dzbana był nalepiony bardzo misternie jeździec, w dłoni nad nim sokół, ptak o dziwnie delikatnych skrzydłach, trzymając w dziobie wieniec z dębowych liści. Na drugiej stronie był wryty rok 1789, wszystko zaś było polewzone błyszcząco, złotawego koloru polewą.

Pan Maciej oglądał dzban na wszystkie strony, kręcił głową i uśmiechał się z zadowoleniem, Marek zaś stał i spoglądał to na ojca, to na pracę swą, w którą włożył nie mało trudu.

— Udało ci się, niema co mówić! — rzekł ojciec. — Ale skąd tobie takie myśli przychodzą? — zapytał.

Chłopiec zarumienił się po same białka oczu i rzekł po chwili:

— Czy ja wiem skąd! Pan Bóg mi je śnać zsyła z wiatrem, co od Wisły przychodzi i z promieniami słoń-

ka, co Wisłę naszą złoci! A żeby tatuleńko wiedział, co ja mam tych myśli w głowie, czasem zda mi się, że mi głowę rozsada, a gdybym je mógł wszystkie w glinie wyrobić, nie jeden ale setki byłoby takich dzbanów — mówił dalej Marek. — Ale przy tej mowie oczy błyszczały mu takim ogniem, iż zdawało się, że w nich przedstawiają się wszystkie, myśli o których wspominał.

Tymczasem pani Domicela z Marychną kończyły łądować smakołyki.

A ten piernik coś sama upiekła, trzeba schować oddzielnie, żeby się nie połamał, boć to dziw nad dziwy, tak ci się udał! — mówiła matka, trzymając gruby, gęsto anyżem posypywany, smakowicie wyglądający piernik.

I tak samo, jak pan Maciej dzban, tak pani Domicela wyrób córki z wielką ostrożnością układała w łubowe pudełko.

— A też byle komu nie dam pokosztować takiego przysmaku — mówiła, bo twój to ojciec byle kamrata gotów sprowadzić i zarazby mu kawał wetknął! — dodała.

— Albo i z tym miodem, wyrwał się, jak z motyką na raki — mówiła dalej oszczędna niewiasta.

— A może tam tatulek spodziewa się spotkać jakie znaczne osoby i względem owego Markowego dzbana chce pogadać — ozwała się nieśmiało dziewczyna.

— A juści! — ofuknęła pani Maciejowa.

Niemniej wszakże otworzyła skrzynkę i wyjęła z niej wielki klucz, zapaliła kaganek i wyszła z nim do sieni. Tam podniosła ciężkie drzwi, mieszczące się w podłodze, i z kagankiem w ręku zeszła w głąb po ciemnych schodach do loszku, który każdy bogatszy obywatel miał pod swoim domem. Wielkim kluczem otworzyła znów drugie drzwi i weszła teraz już do loszku zastawionego beczkami, w jednym zaś kącie stały odosobnione i dobrze omszałe butelki.

— I taki miód oto każe brać na Bielany! — mruknęła do siebie.

Wzięła wszakże i niosąc ostrożnie, żeby nie obetrzeć pleśni, wróciła do izby.

— Jakby chciał byle kogo częstować, nie dam i kwiata — rzekła, pakując z wielką uwagą przyniesione butelki.

Czy majster widział zapakowane butelki, czy też zajęty myślą o pięknym dzbanie syna, zapomniał o wszystkim, dość, że o miodzie nie myślał. Wróciwszy z garncarni i składów, spojrział tylko na naładowane kosze i rzekł wesoło:

— No, wszystko dzięki Bogu gotowe, a jejmość widzę już naładowała jadło, możemy jutrzejszy dzień na chwale Bożej godnie spędzić, a w poniedziałek skoro świt na Bielany wyruszyć.

— Nie wadziłoby zaraz po północy, żeby wszystko jak się należy, nim inni poprzyjeżdżają ustawić — rzekła pani Maciejowa, która zawsze musiała jeszcze coś dodać i poprawić.

Choćbyśmy i ostatni przybyli, na nasz kram najwięcej oczu będzie spoglądało — rzekł z pewną dumą pan Maciej, mając na myśli piękny dzban Marka.

I patrzył z lubością na syna.

Marcin pokazywał bratu łubko, w którym zapakowany był piernik, Marek zaś opowiadał:

— W takie samo łubo, jeno dużo większe, zapakowałem mój dzban, a ojciec chwalił, że mi się robota udała.

— Że się udała, to udała, jeszcze chyba w naszej garncarni, a bodaj i w żadnej, tak pięknie dzbana nie przyzodobili! — odrzekła, uśmiechając się Marychna.

I pogładziła z lubością po zarumienionej twarzy brata.

— Dość tego gadania, zabierać się do snu! — zawołała ostrym swym głosem pani Maciejowa. — Wszystko już gotowe — jutrzejszy dzień na modlitwę i odpoczynek, bo w poniedziałek czeka nas nie mało turbacyi — dodała.

— Ii, toć chyba więcej uciechy niż turbacyi, boć przecie na Bielanych jest czem oczy nasycić a też i dziwować się jest czemu — ozwał się pan Maciej.

— Juści, wy będziecie mieli uciechę, jeno ja muszę za wszystkich dawać baczenie i na towar i na Marychnę i...

I nie dokończyła swej myśli gderliwa niewiasta, lecz machnęła ręką.

Pan majster nic też nie odpowiedział, tylko się po swojemu uśmiechnął. Dzieci poszeptawszy coś jeszcze o jutrzejszej ucieście, poszły spać i wkrótce cisza zaległa mieszkanie państwa Gliniaków.

W poniedziałek, jako w drugi dzień świąteczny, ledwie świt rozwiesił pierwsze na niebie blaski i począł nocne rozpraszać chmury, we wszystkich domach na ulicy Pivnej, na Gołębiej, na Dunaju a nawet i S-to Jańskiej ruch przyspieszony panował. Do wozów naładowanych najrozmaitszym towarem, zaprzęgano konie, dokładano węzłki, poprawiano lub przymocowywano, żeby się co nie osunęło.

Głosy i nawoływania dawały się słyszeć ze wszystkich stron; były to głosy radosne lecz przyciszone. Słonko nie wstało jeszcze, świat był w półmroku a ludzie, ba, nawet zwierzęta, głos swój wtedy miarkują, jak gdyby chcieli okazać, iż przed ukazaniem się słonka powinno się mieć uszanowanie dla budzącej się ze snu dobroczynnej gwiazdy. W miarę ukazywania się coraz jaśniejszych promieni i głośno stawały się coraz śmielsze, wyraźniejsze, rozbrzmiewały przytłumionem echem po wązkich ulicach, łącząc się z gwarem rynku Starego Miasta.

(d. c. n.)

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Boże, cóż to znaczy?

— Poszedłem więc z nim do mego pokoju cicho, żeby chłopców nie pobudzić i dałem mu broń.

— Ach, pociąg to uczynił? Trzeba było odmówić!

— Nie mogłem odmówić człowiekowi najzaciejniejszemu, rozumnemu, któremu ufam i dla którego mam wdzięczność. Jestem tylko zaniepokojony z powodu jego dystrykcyi i boję się, by w roztargnieniu nie obszedł się z bronią nieuczajnie.

Wszyscy troje zamyślili się głęboko i patrzyli w ogień kominka, na którym strzelało wesoło palące się sosnowe drzewo. Po upływie pół godziny niepokój, który ich nurtował był już zbyt ciężki do zniesienia, pan Zabrzski wstał, mówiąc:

— Muszę pójść do pokoju profesora, zobaczę co się z nim dzieje. Żeby czasem jego roztargnienie nie sprowadziło jakiego nieszczęścia. Na co broń może mu być potrzebna?

Pan Zabrzski, a za nim żona i córka poszli ku pokojowi profesora. Na stukanie do drzwi nie było żadnej odpowiedzi. Pan Zabrzski uchylił je, potarł zapałkę i zoczył, że pokój był pusty.

Wrócili do saloniku, siedli przy kominku, który rozlewał przyjemne ciepło zupełnie niezbytczne wśród pogodnej i chłodnej nocy jesiennej i czekali, mówiąc mało, myśląc wiele a niepokój, który ich dręczył, ukrywając jedni przed drugimi.

IX.

Tymczasem profesor Chlewiatko dochodził właśnie do lasu i stanawszy na jego skraju, okryty cieniem drzew, rozejrzał się dokoła. Z za krzaka wychyliła się cyganka, wzięła go za rękę i pociągnęła w cień jeszcze większy.

— Zmarzłam na kość, czekając na pana dziedzica —

mówiła — czy jaśnie dziedzic nie przyniósł czasem z sobą wódki? Na rozgrzewkę byłaby dobra.

— Nie mam wódki. Śpieszmy się, moja kobieto... nie ma czasu do stracenia!

— Zaraz, zaraz, jaśnie dziedzicu! Jedno tylko powiem. Ja do samego miejsca jaśnie dziedzica nie doprowadzę...

— Dlaczego?

— Bo się boję. Cyganie, moi bracia, pozamykani w areszcie, ale zostali jeszcze cyganki, moje siostry. Może tam która z was zobaczy z jaśnie dziedzicem, a wtedy już po mnie! I mój synek co za nauką aż ginie, zostałby wtedy sierotą! Niech jaśnie dziedzic posłucha. Będziemy szli razem, ja po lesie będę jaśnie dziedzica prowadziła za rękę, ale żadne z nas nie powie ani słowa. Gdy dojdziemy do jednego miejsca jaśnie dziedzic odliczy sobie dziewięć drzew stojących w nierównym rzędzie prosto przed nami. Dziesiąty będzie stary dąb, krzywy i spróchniały. Jaśnie dziedzic odliczy sobie siedm kroków od tego dębu, na prawo. Będzie tam kołek nieduży, leszczynowy, zatknięty w ziemię. Jaśnie dziedzic odgarnie liście i tam będzie znać, że ziemia była zruszona. Trzeba odkopać dołek na łokieć, tam są pieniądze w pudełku blaszanym, owiniętem w skórę cielęcą.

— Ukradliście gdzieś cielę?

— Eh, to jeszcze przeszłego roku!

I profesor zaczął powtarzać:

— Dziewięć drzew stojących w nierównym rzędzie, wprost przede mną, potem dąb krzywy, spróchniały... na prawo od dębu siedm kroków... kołek nieduży, leszczynowy.

— Ach, jaką jaśnie dziedzic ma mądrą głowę, wszystko zapamiętał odrazu! Za taką głowę, to można dać... Ale tu się coś ruszyło! Zająć przebiegł czy co?

Niespokojnie poczęła krażyć w okolo, wyglądać ze skraju lasu na pole, ale nie dostrzegła Zdzisia, który się przytulił do sosny z tej strony, z której nie była oświetlona przez światło księżycy.

W tej chwili po polu pomknął zając, szarak, który lubił zaglądać w nocy do kapusty dworskiej i tak się już oswoił z ogrodnikiem, Antonim, że odstraszony przez niego, umiał przycupnąć gdzieś w bródzie, a gdy Antoni odszedł w inną stronę, amator kapusty wracał i wygryzał same środki główek. Właśnie nocy poprzedniej przekonał się, że i kalafiorzy niezgorszą są jarzyną i myślał o nich, biegnąc co tchu ku ogrodowi dworskiemu.

Widok zająca uspokoił cyganke.

— Chodźmy, jaśnie dziedzicu — rzekła — a jutro przyjdę po zapłatę.

— Otrzymaś ją w całości, byleś swoich przyrzeczeń dotrzymała.

— A teraz cicho! Sza! Niech w lesie ludzkiego głosu słycać nie będzie.

— Ale czemu ja odkopię pieniądze? Nie wziąłem z sobą łopatki.

Jabym tam potrafiła i paznogciami to zrobić, a jaśnie dziedzic sobie poszuka jakiego splaszczzonego kamienia, albo kołka mocnego.

Cyganka wzięła pana Chlewiatkę za rękę i szli lasem nie zamieniając między sobą ani jednego słowa. Za nimi, bardzo blisko, z obawy, żeby ich z oczu nie stracić, postępował Zdziś, o ile mógł cicho i usiłując stąpać w takt ich stąpania. Gdy tak szedł, śledząc profesora, tropiąc go jak

lis tropi zająca, własne jego postępowanie wydało mu się wstrętnem i godnem największej pogardy. Nie mógł prawie wierzyć, że on, który pragnął całe życie rzadzić się religią i honorem, że on, który się brzydził podstępami, teraz szedł jak złodziej, usiłując stłumić swe kroki! Że on mógł się poniżyć do wyjścia z domu tajemnie, do oszukiwania najlepszego ojca, układając pod kołdrą sztuczną postać, mającą naśladować kształty ludzkiego ciała, że był kłamcą, oszukańcem.

Ale już do powrotu droga była zamknięta. Wśród gęstwiny leśnej nie umiałby był rozpoznać stron świata i byłby z pewnością zabłądził. Zresztą, gdy już tu był, mógł może stać się pomocą panu Chlewiatce, którego zamiarów nie znał, gdyż słyszał tylko koniec prowadzonej na skraju lasu rozmowy, między nim a cyganką. Szedł więc dalej, z sumieniem strasznie obciążonem popełnioną winą, pełen wzdrygi dla siebie, pełen żalu i skruchy. Milczenie panującego między profesorem a cyganką budziło w nim jakieś niejasne podejrzenie. Było dziwnem i nienaturalnem, by dwoje ludzi trzymających się za rękę, nie przemówiło do siebie ani jednego słowa. To grobowe milczenie przejmowało Zdzisia strachem. Chwilami przychodziło mu do głowy, że cyganka doprowadzi profesora w jakąś zasadzkę i wtedy budziła się w nim trwoga.

Myśli te ustępowały znowu przed nadlatującymi jak stado kruków, wyrzutami sumienia. Czemu on nie usłuchał Józia i nie zasnął spokojnie w ciepłym łóżku? Czemu nie naśladował brata w jego dobroci, posłuszeństwie, uczciwości?

Nareszcie profesor i cyganka zatrzymali się. Ona wskazała przed siebie, dotknawszy ręką wysokiej i nagiej sosny, a potem znikła między gęstwiną, jak sarna, która pomknie wśród gałęzi i już jej oko ludzkie dojrzeć nie może. Profesor zostawszy sam, szedł przed siebie licząc drzewa, wreszcie zatrzymał się przy grubym, spróchniałym i krzywym dębie. Stanawszy z prawej jego strony odliczył siedm kroków i schylił się ku ziemi. Szukał przez chwilę, macał, a nawet ruchy jego okazywały pewien niepokój, aż nareszcie stanął w miejscu i począł kijem liście suche rozgarniać.

Zdziś ukryty opodal za krzakiem śledził jego ruchy i pracę. Widział jak pan Chlewiatko zaczął grzebać w ziemi, odkopywać. Robota szła mu niesporo, przy braku łopatki lub jakiegokolwiek narzędzia pomocniczego. Zdziś rozmyślał właśnie, czyby nie wyjawic swej obecności i nie ofiarować profesorowi kindżała do kopania ziemi, gdy usłyszał w oddali jakieś stąpanie, które się wśród ciszy nocnej rozlegało, a którego profesor, zajęty pracą, widocznie nie słyszał.

Chłopiec nadstawił ucha i usłyszał przyciszone głosy kobiece. Serce mu biło jak młotem. Czekał.

Głosy ucichły. Do kobiet idących, widocznie doszedł odgłos roboty profesora, bo przystanąły; a potem wytężony słuch Zdzisia zdołał usłyszeć tylko taki szelest, jak ślizganie się węża po mchach i liściach leśnych. Teraz serce zamarło mu w piersi, gardło zaciskał mu niewymowny niepokój, włosy jeżyły się na głowie. Krew buchnęła mu do głowy, potem czuł, że blednie i myślał, że zemdleje. Odzyskał jednak trochę spokojności, a słuch jego tak się zaostriżył, iż żaden szelest, żadne poruszenie zeszcłego listka na drzewie, nie uszło jego bacznosci.

Wzrok Zdzisia szedł za wskazówkami słuchu i teraz



Zamek w Ojcowie.

dojrzał rzecz nadzwyczajną. Oto z ciemności leśnych, ku profesorowi poczęły czołgać się po ziemi trzy postacie, jak pantery przygotowujące się do skoczenia nagle na ofiarę, nie przeczuwającą żadnego niebezpieczeństwa.

(d. c. n.)

Jadwiga Warnkówna.

Listy z wycieczek po kraju.

Ojców 20/7 1901 r.

Droga moja! „Wysuszyło się i wykruszyło,” jak to powiedział ów wesołego humoru Ojcowiak, ale dopiero po pięciu dniach słoty. Od tygodnia znowu ciepło, jasno, promiennie. Biegamy więc po skałach, lasach, zdeptaliśmy już chyba wszystkie drożyny i natrzęśli się do syta wózkami. Najczęściej używamy przechadzki w głównym jarze, a zwłaszcza w części jego, zwanej Prądnikiem ojcowskim, gdyż zawsze nas w tę stronę nęci przepyszna grupa skał, zwana Bramą Krakowską. Przywiosę ci fotografię, z której przekonasz się, że nazwa ta słusznie została nadana, bo dwie olbrzymie, prostopadłe skały stoją w pewnym oddaleniu od siebie, tworząc wejście do bocznego wąwozu.

Takich bocznych jarów jest kilka jeszcze, jak dolina Bentkowska i Saspowska.

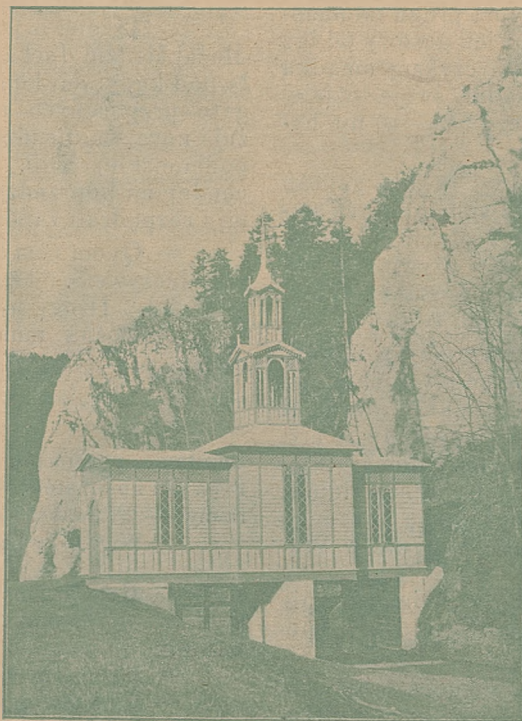
Ostatnia jest szeroka, kwiecista, powiem nawet weselsza od doliny Ojcowskiej, a że jedna jej strona wystawiona na południe, a druga na północ, stąd ogromna różnica daje się spostrzegać w obydwóch ścianach jaru. Na południowej stronie roślinność niezmiernie bujna, a kwiecista tyle, że się to ciśnie jedno obok drugiego, aby główkę ku słońcu wychylić. Dzwonki, storczyki, goździki, stokrotki mieniają się żywymi barwami w gęstej trawie, a obok tych dobrych znajomych nęci oko, a często i zmysł powonienia mnóstwo roślin i kwiatów, nie spotykanych gdzieindziej, przynajmniej na naszych mazowieckich równinach.

W Saspowskiej dolinie płyną Saspą z Saspówką, a po bokach jarów białą się tak samo, jak nad Prądnikiem szeregi skał różnych nazw i różnych kształtów. Nie drapaliśmy się już tam na skały, ani nie zaglądaliśmy do żadnych pieczar, bo dzień był wtedy tak piękny, a dolina w południowym słońcu przedstawiała się tak ponętnie, że nie chcieliśmy nigdzie zbaczać i idąc ciągle brzegiem rzeki, doszliśmy do pierwszych chat

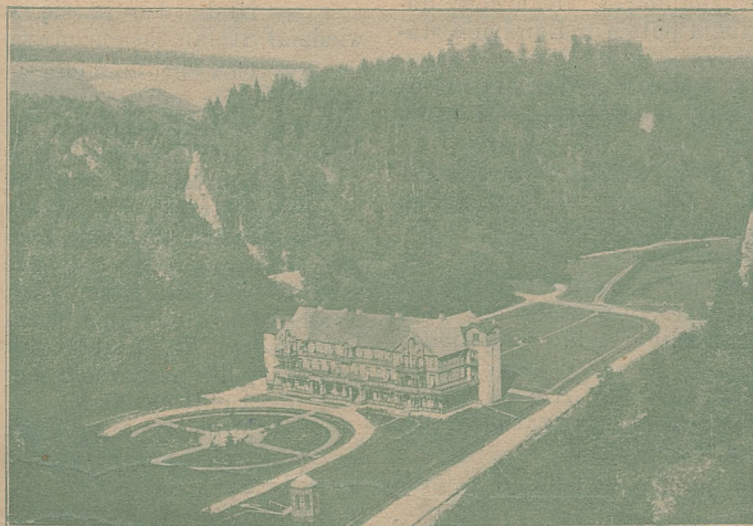
wioski Saspowa, a potem tą samą drogą powróciliśmy do Ojcowa, bo czas był wielki na obiad.

Zapytujesz, czy tu jest wesoło? W tak pięknej miejscowości, gdy jest pogoda, nie może być smutno. Ci jednak, którzy nie odczuwają piękności natury, niejednokrotnie narzekają na brak rozrywek, chociaż kto chce, może tańczyć co tydzień, a bawić się w kregle, kroieta i inne gry choćby cały dzień. Dzisiaj będzie nawet teatr amatorski na cel dobroczynny, a za tydzień koncert. Za chwilę jedziemy do doliny Bentkowskiej; droga podobno dosyć daleka, ale widok doliny dziki, odmienny, a jednak pełen uroku, ma sownie wynagrodzić trudy.

Sciskam cię *Helena.*



Kaplica nad Prądnikiem.



Zakład leczniczy w Ojcowie, widziany z Wilczej skały.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Ale na ten objaw złudzeń i nadziei powstał między mężczyznanami pomruk niechęci. Alboż nie przychodził tu już raz swojak. Był kilka dni temu i co? Wyludził ostatni grosz, obiecując starać się u rządu o pomoc dla kolonistów, a potem nie zajrzał więcej. Jeszcze i Skiba przepadł od tego czasu. Bóg wie gdzie się włóczy. Nie wierzą już, aby dla nich był ratunek. Zginą wszyscy, jak zginęło tyłu.

Stefan stał na brzegu baraku i patrzył. Byliż to ci sami ludzie, z którymi jechał do Bremy? Wygnędniali, obdarci, z wyrazem przygnębienia i rozpaczony w oczach, nie przypominali w niczem dzielnych parobków, podróżujących z dobrą fantazją i wierzących, że zbudowano już przez morze most, i że w Brazylii dostanie każdy z nich ziemi w bród pod pszenicę, a kobieta zagon pod kapustę i len.

O jakże mu było żal tych ludzi. Jakże zmalały nagle w oczach Stefana własne jego tęsknoty i smutki.

Tyle razy bolał nad swym pochodzeniem, tyle razy myślał, gdzie w tej chwili jest jego rodzina, tyle razy zbroił

się w moc przeciw złośliwości ludzkiej, która może rzucić mu kiedy w oczy obelżywą nazwę: znajda. A teraz gdzie się podziały wszystkie jego osobiste troski. Utopił je w morzu zbiorowej nędzy. Tu na progu baraku wydały mu się one marne, i śmiesznie małe.

Znajda, to co, że znajda? Alboż jest czas myśleć o różnicy urodzenia.

Byłby chętnie padł na kolana i błagał Boga o moc, o rozum dobry, o wolę silną, o te wszystkie dary Ducha, które pozwalają człowiekowi oddać się na służbę braci-

— Wartoż było gniewać się na Adamka, wartoż przewidywać sztyrdstwa złych ludzi, kiedy na świecie tyle jest do roboty, a tak mało ludzi gotowych zaprzepaścić siebie dla drugich — wołało sumienie.

A tymczasem z tłumu biedaków, zgromadzonych około ogniska, zaczęły się wysuwać ku Stefanowi coraz nowe postacie. Wychodzący odczuli, że stojący na progu młodzieniec, to nie obojętny przybysz, to człowiek gotowy oddać im serce i siły. Więc otoczyła byłego słusarczyka gromadka obdartych biedaków; ten i ów opowiadał swoje dzieje, a kiedy raz otworzyły się usta zacięte rozpaczą, to nie było już końca skargom.

Stefan słuchał, pocieszał, tłumaczył w jaki sposób Irlandczycy otrzymują od rządu Brazylijskiego dobrą ziemię i pomoc na nowe osiedliny. Wlewał otuchę w zgorzkniałe serca. Aż pod wpływem jego słów ożywili się wychodzący, prostowali zgarbione zwątpieniem postacie. Wstępowało życie od tych zamarłych i pobladłych twarzy.

Znów, jak rano, szumiał las, szarzały góry w oddali. Stada papug swarzyły się o miejsce na wygodny nocleg, pachniały kwiaty, świeciły chrząszcze, ale Stefan nie widział pięknej otaczającej go natury. Szedł pogrążony w myślach, była już prawie noc, gdy minął pierwsze domy. Niepewny drogi, chciał właśnie zapytać o nią przechodniów, kiedy nagle spostrzegł przed sobą mężczyznę ubranego w kaptotę zupełnie podobną do tych, jakie widywał w Wągrowcu.

— Skiba—pomyślał. Przyjrzał się wieśniakowi i nie wątpił już, że to Wojciech idzie przed nimi, a idzie niepewnym, chwiejnym krokiem.

— Dlaczego nie było go w baraku, co może robić sam w obcym mieście? — Chciał już powitać znajomego z Gośliny, kiedy chłop skręcił nagle w bok, stanął przed budą skleconą z desek i grzmotnął w nią tak silnie pięścią, że zatrzęsa się od pierwszego uderzenia.

— Czego się włóczysz po nocy, czekam na ciebie od godziny — odezwał się ktoś z głębi budy.

Głos wydał się Stefanowi znajomym. Nauczony doświadczeniem nabytem w Bremie, a potem w Londynie stanął za drzewem i czekał

Nie czekał długo. Z budy wyszedł mężczyzna niższy i szczuplejszy od Wojciecha. Latarnia wisząca nad drogą oświetliła jego twarz.

Nieznanym był wujaszek Ziemniaka... Jacek Żądło. Nie ukrywał się i szedł z Wojciechem ku miastu rozmawiając głośno, Stefan słyszał o czem mówili.

— Byłeś na Ilha das Flores? pytał Jacek.

— Byłem, ale Marciniowa mówią, że ten chłopak, co mi go pan kazał sprowadzić, oszalał ze wszystkim. Macha nożem i duchem rad kogoś zabić, tylko nie wiedzą kogo.

— Osieł, na mnie się tak zawziął, Ale za co? za moją dobroć. Chciałem mu nastreczyć łatwy zarobek, ale nie będzie już widać pociechy z tego głupca.

— A możeby Pan mnie przyjął do roboty? — odezwał się nieśmiało Wojciech.

— Może, wprzód jednak muszę wypróbować, co potrafisz. Tamten był zdalny, zresztą to moja krew a ty obcy.

— Swojak czasem najgorszy.

— Prawda, tylko, żeś ty strasznie na kaszas (wódkę) łakomy, przepiłeś wszystko, co ci dałem z wspólnego zarobku.

— To tylko, żeby zalać desperacją, bo okrutnie mnie ściska pod sercem, kiedy słucham jak tamci w baraku przeklinają moje namowy. Zresztą taki tam i zarobek. Otumaniliśny swoich, oddali ostatni grosz, było czem dyabła ukontentować.

— Milcz! — krzyknął Żądło. Podobały ci się milrei-

sy *) a teraz narzekasz? Z głoduś marł, kiedym cię spotkał w porcie, więc nie nie udawaj pana.

Wojciech uczył skrucę, nachylił się i pocałował Jacka w rękę.

— Poczekaj — mówił udobruchany Żądło.

Niech ja tylko załatwię się w Rio z tym łotrem, przez którego długi język musiałem aż tu uciekać to potem oskubieny jego przyjaciela, a bogaty to ptaszek, miałem na niego oko już w Londynie.

Stefan zadrżał, słowa łotra były aż nadto zrozumiałe.

— Trzeba ostrzedz O'Cleara—pomyślał, ale nie mógł dłużej śledzić Jacka. Droga prowadząca do miasta tętniła pod kopytami koni i mułów. W ulicę wjechał orszak bogato przybranych mężczyzn. W Brazylii nikt nie podróżuje nocą, nadjeżdżający panowie udawali się też tylko do podmiejskiej willi. Czterech murzynów z zapalonemi pochodniami poprzedzało jeźdźców. Biegli na wyscigi z końmi i rozpędzali zapóźnionych przechodniów.

— Quem rem la? (kto idzie) zawołali, świecąc smolnem łuczywem. Dym pochodni roznosił w powietrzu woń kadzideł. Drogę było teraz widać doskonale.

— Pozna mnie — zawołał Stefan i skręcił w boczną ulicę.

Rozdział XIV.

Rozstanie przyjaciół. — Gladstone. — Potęga wynalazków. — Broń dla kolonistów. — Ratunek. — Wspólnik zdradził. — Skiba ranny. — Piosenka. — Skrucha Wojciecha. — 24 Grudnia. — Wigilia w baraku. — Kołody. — Do kościoła.

— Rozstajemy się więc Stefanie, ty poprowadzisz swoich współziomków a ja także zapewne niedługo tu zabawię.

— Opuszcza więc pan Brazylię—mówił z żalem Stefan.

— Być może, jeśli znajdę ludzi, którzy zastąpić mnie potrafią. Minister Gladstone uznał prawo religii katolickiej i ulżył losowi pokrzywdzonych rolników Irlandzkich. Do nas należy wyzyskać otrzymane ustępstwa, uświadamiając ludność o tem, co już otrzymała i czego jeszcze żądać ma prawo. Zakładam w tym celu, razem z moim przyjacielem Parnelem, dziennik.

— Niebardzo ja się znam na tych sprawach, — powiedział Stefan zasmucony wyjazdem Jakóba.

— Cóż chcesz, minęły czasy wielkich wojen. Trzech Horacyuszów ocaliło Rzym, kto wie, czy trzech dziennikarzy lub trzech uczonych pracujących w laboratorium nie wystarczy dla pokonania Anglii.

— Pan wierzy temu? zapytał Stefan.

— Dlaczego nie miałbym wierzyć? Pomyśl, jaki przewrot wywołało zastosowanie pary. Cóż stałoby się ze starym światem, gdybyśmy znaleźli sposób użytkowania takich sił, jak siła przypływu i odpływu morza. Czy wiesz, że siła wód samej tylko Francji wyrównywa sile wszystkich ludzi na świecie, a siła cyklonu, trwającego kilka godzin, wystarczy dla poruszenia wszystkich fabryk na obu półkulach przez całe tysiąc lat.

— Mnie się kręci w głowie, gdy o tem myślę, ale to wszystko tylko przypuszczenia.

— Przypuszczenia? Alboż nie przenoszą już ludzkie siły wodospadów na setki mil. A cóż będzie, jeśli udadzą się próby użytkowania pierwszego źródła sił, siły słońca. Słońce wprawdzie nie zawsze i nie wszędzie świeci. Jeśli jego promienie zastąpią węgiel i poruszać będą fabryki, to mglista Anglia i my Irlandczycy skazani jesteśmy na bankructwo. Niewiele lepiej dzieć się będzie i z wami nad Wisłą, ale tembardziej należy kolonizować słoneczną Brazylię. Daleko zaprowadziły mnie marzenia wynalazcy, praktyczniej będzie wrócić do projektów założenia dzien-

*) Milreis pieniądz Brazylijski wart mniej więcej 60 kopiejek. Kurs jego bardzo zmienny. Milreis zawiera 1000 rejsów.

nika. Nie mówiłem ci dotąd o nich, kiedy jednak zdecydowałeś się towarzyszyć waszym wychodźcom w głąb kraju, to chcę, abyś wiedział, jakie są moje plany. Ty rozpętałeś mi ręce bo posiadając środki materyalne, mogę dążyć wszędzie, gdzie mnie wzywają interesy Irlandyi.

— Ja to jestem dłużnikiem pana, panu przecież zawdzięczam pomoc daną moim współziomkom. Byłem dziś w baraku, mam nadzieję, że za kilka dni wypłyniemy z Rio.

— Wprost do Itajahy?

— Tak do portu Itajahy i korytem tej rzeki w głąb kraju aż do Sixteen Lots, to jest do tych szesnastu działków, na których wprzód pracowali pańscy rodacy.

— Czy otrzymaliście od rządu przyobiecaną zapomogę?

— Dzięki panu nie doznaliśmy pod tym względem żadnych trudności. Okręt zabiera na statek nasiona i narzędzia rolnicze, nawet kuźnię, w której rozłożę mój warsztat ślusarski. Mamy wszystko, czego potrzebuje początkujący osadnik.

— Stefanie — powiedział O'Clear kładąc rękę na ramieniu ślusarczyka — chętnie podzieliłbym się z tobą moim majątkiem, ale nie chciałem nigdy przyjąć ode mnie nic ponad konieczne wydatki. Ja i moja matka pozostajemy na zawsze twymi dłużnikami. W puszczy będziesz koniecznie potrzebował dobrej broni. Kupiłem tę fuzyą, niech ci przypomina brata.

Stefan był tak wzruszony odjazdem i dobrocią Jakóba, że nie dziękował mu nawet. Powtarzał w myśli słowa inżyniera.

Stał przy otwartym oknie. Z ulicy dochodziła wrzawa kłótni, ale ani on, ani Jakób nie zwracali na nią uwagi.

— Ratujcie, łapcie zbója! — krzyknął nagle ktoś po polsku.

— Słyszysz, to wasz wzywa pomocy — zawołał O'Clear chwytając rewolwer. W mgnieniu oka byli obaj z Stefaniem na ulicy.

Jakiś wysoki i tęgą mężczyzna okładał pięścią wijącego mu się pod ręką chudziaka.

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Nowy balon (z ryc.) W roku zeszłym, w „Historyi środków komunikacji” opowiadał p. Umiński o różnych rodzajach balonów najświetniejszej konstrukcyi, ale teraz zapanowała tu gorączka balonowa i każdy miesiąc przynosi nowe pomysły. Francuz, p. Roze, któremu laury Santoz-Dumon spać nie dają, wynalazł podwójny balon latawiec, przedawiony na rycinie. Pod dwoma olbrzymimi cygarami, wypełnionymi wodorem, umieszczona jest maszyna latająca i kierująca balonem, zrobiona z aluminium.

Przyrząd ten kosztował wielką sumę i wyglądał wspała, wynalazca z maszynistą w obec znacznej ilości widzów zasiedli wewnątrz maszyny aluminiowej, i mieli wyrzucić w powietrze przestwory. Ale cóż! pomimo wirowania — balon ani drgnął z miejsca. — Próba się nie udała, a wynalazca nie traci jeszcze nadziei, że poprawi błędy swojej.

Audyencya u cesarzowej chińskiej. Jedna z dam, należących do ambasady w Pekinie, powróciwszy niedawno temu do Europy, tak opowiada o audyencyi, która się odbyła w styczniu u cesarzowej chińskiej.

W sali udekorowanej najkosztowniejszymi przedmiotami sztuki, znajdują się wszędzie świeże jabłka, których zapach cesarzowa bardzo lubi, poustawiane w małych piramidach na posadzce. Powoli cesarzowa zstąpiła z tronu. Gdy z kolei żonie ambasadora amerykańskiego wyraziła najgłębsze ubolewanie z powodu nieszcześliwych wypadków dwóch lat ostatnich, zalała się łzami. Powtarzała kilkakrotnie, że Chiny same ponoszą winę tego, co się stało, odtąd jednak zapanować ma przyjaźń i pokój między Chinami i Europą. Następnie zdjęła kosztowny pierścień, ozdobiony perłami, i włożyła go na palec żony ambasadora amerykańskiego, nadto ofiarowała jej dwa naramienniki. Podobnie obdarowała władczyni i inne damy; przyszła kolej na dzieci, które wszystkie wypytywała o wiek. Szczególna rzecz, że dzieci nie okazywały żadnej trwogi i zachowywały się swobodnie. Każde z dzieci otrzymało mały łańcuszek z medalionem.

Cesarzowa jest średniego wzrostu, dość pełna, choć nie otyła. Rysy jej twarzy są ostre i regularne. Wysokie czoło wskazuje na pochodzenie jej mandżurskie, oczy jednak nie są ani małe, ani skośne. Twarz cesarzowej nie jest uszmkowana, jak u reszty dam chińskich, zdradza też niezwykłą stanowczość i energię. Dama, która szczególnie te opowiada, zapewnia, że takiej twarzy wśród kobiet chińskich nie spotkała.

Wszystkie jej ruchy i chód są majestatyczne. Skoro obdarowała gości, kazała podać sobie fajkę, którą paliła z widocznym zadowoleniem. Wtem wszedł do sali cesarz i przedstawiono mu damy. Stał niemal nieruchomo, tylko podczas prezentowania dam podawał im kolejno swoją niezwykle drobną rękę. Jedna z pań chciała koniecznie zwrócić na siebie jego uwagę, siadła przeto naprzeciw niego i uśmiechała się. Zauważył to, uśmiechał się również i zdawał się szczególnie obserwować jej kapelusz. Nie przemówił jednak ani słowa.

Na śniadanie podano oryginalne potrawy, — których damy europejskie prawie nie tknęły. Cesarzowa rozłamała mały chiński chleb na kilka kawałków, zmaczała jeden w sosie, podobnym z wyglądu i smaku do... czernidła na buty i własnymi palcami włożyła do ust żonę ambasadora amerykańskiego; ten sam zaszczyt spotkał siedzące w pobliżu żony ambasadorów hiszpańskiego i japońskiego. Opowiadająca te szczegóły, podziękowała cesarzowej w języku chińskim, co ją widocznie tak bardzo ucieszyło, że podała jej zaraz drugą porcję. Nagle cesarzowa uchwyciła rękę ambasadora amerykańskiego, poruszyła zwolna głową i rzekła jakby ze smutkiem: Nikt nie chce u mnie jeść!

Cesarz podczas całego śniadania stał, śledził wszystko z niezwykłym zainteresowaniem, ale i teraz nie odezwał się ani jednym słowem...

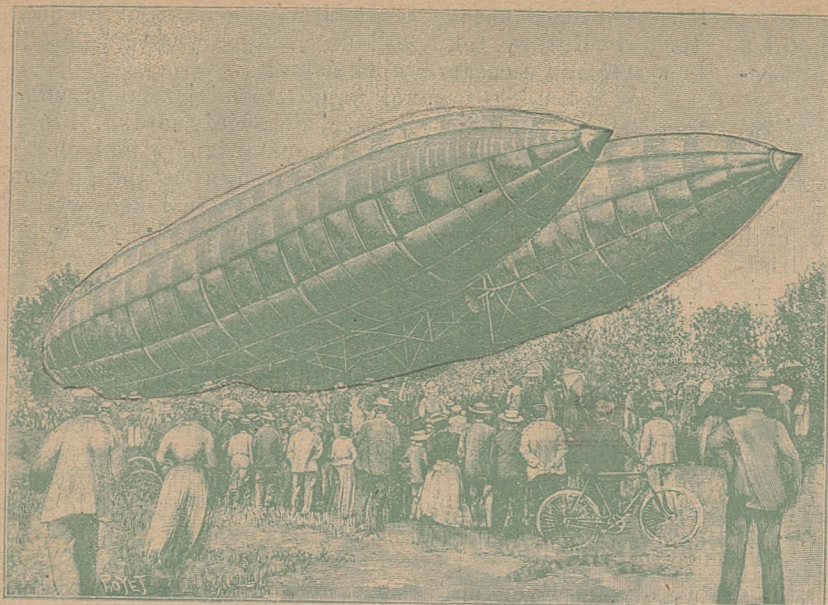
SZARADA.

uł. Chmurka.

Moje pierwsze plynie
W południa krainie,
A z mojem trzeciem złączone
Czterykróć bywa zmienione.

Moje drugie trzecie
Okrywa, nie dziecię,
Ni ptaka, ni zwierzę,
Okrywa, coś przecie,
I od zimna strzeże.

Moja wszystka wielka cnota,
Która droższą jest od złota.
Rzadko kogo zdobi ona,
Zawsze przecież jest ceniona.



Wzlot balonu Rozego (patrz str. 159).

ARYTMOGRYF.

od Zochozwianki i Czarnuszki dla Świtezianki i Wieszczyki.

- 1) 12, 5, 25, 2, 8, 1, 5, 25, 7, 4. Jeden z naszych [pierwszych drukarzy.
- 2) 15, 3, 13. Mineral kopalny.
- 3) 8, 3, 17, 5, 4. Imię żeńskie.
- 4) 25, 23, 33, 6, 1, 9, 2, 14. Miasto w Szkocji.
- 5) 23, 33, 4, 6, 4. Grecka bogini.
- 6) 8, 16, 3, 7, 33. Dawna polska moneta.
- 7) 5, 13, 6, 5, 10, 11, 4. Poetka polska.
- 8) 25, 10, 9, 4, 23, 3, 2. Rzeczposp. w Amer. połud.
- 9) 23, 33, 3, 14, 25, 6, 25, 18. Filozof grecki.
- 10) 3, 1, 25, 13, 5, 15, 11. Kolumna piramidalna.
- 11) 1, 4, 2, 23. Śpiewak w wiekach średnich.
- 12) 2, 25, 16. Posta polski z XVI w.
- 13) 8, 4, 6, 8, 5, 1, 4, 2. Wybrzeże w Afryce.
- 14) 25, 23, 21, 9, 6, 23. Imię męskie.
- 15) 19, 5, 26, 15, 16, 4, 12. Utwór K. Brodzińskiego.
- 16) 23, 25, 21, 3, 15, 7, 25, 6, 25, 15. Najznakomitszy [mówca grecki.
- 17) 3, 8, 5, 2, 5, 5. Bożek egipski.
- 18) 23, 3, 2, 8, 25. Wielki obszar wody.
- 19) 9, 2, 15, 8, 9, 13, 11, 4. Imię córki naszego poety.
- 20) 6, 25, 21, 2, 3, 23. Założyciel państwa Babilońskiego.
- 21) 4, 21, 25, 2, 33, 11, 4. Część świata.
- 22) 16, 4, 15, 15, 33, 2. Niewola u Turków.
- 23) 13, 4, 13, 11, 4. Zabawka dziewczynek.

- 24) 25, 13, 25, 14, 5, 4. Rodzaj poezji.
- 25) 14, 3, 2, 7, 33, 11. Przedsiódek z kolumnad.
- 26) 5, 2, 25, 6, 4. Imię żeńskie.
- 27) 25, 3, 3, 14. Bajkopisarz grecki.
- 28) 15, 4, 6, 6, 6, 4. Miasto w Albanii.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyraz, którychby pierwsze litery złożyły znane przysłowie. Jednakowe liczby oznaczają też same litery.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 18-go:

Szarady: O — ce — an.

Lamigłówki w kratkach.

- | | |
|-------------|-------------|
| 1) C e n t | 12) I g ł a |
| 2) A z y a | 13) A n a m |
| 3) P i e ń | 14) P t a k |
| 4) P r o m | 15) G ł a z |
| 5) K o c z | 16) P o r t |
| 6) C h a m | 17) P i e s |
| 7) A n n a | 18) A m u r |
| 8) S t a l | 19) R a f a |
| 9) A r a k | 20) K a w a |
| 10) G r a b | 21) W ó d z |
| 11) S ł o ń | 22) S o w a |

Czem chata bogata tem rada.

6-cio klasowy zakład naukowy żeński S. TOŁWIŃSKIEJ

z dniem 1-m Lipca 1902 roku przeniesiony zostaje z ulicy Chmielnej 48, róg Zielnej, do specjalnie na ten cel wybudowanego gmachu przy ulicy

Św. Barbary Nr. 4.

Egzaminy przedwakacyjne dla nowowstępujących uczennic trwać będą od 10 Maja do 4 Czerwca.

Chcę nabyć za gotówkę **szkołę freblowską** w Warszawie. Adres: Odessa, Poliejcka Nr. 20, Marya Sakowicz.



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: W Zielone Świątki (ryc.) — Dzwonki wiosenne, wiersz przez E. L. — Na Bielanych, przez Z. Morawską. — W Suchowolskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Listy z wycieczek po kraju, przez Jadwigę Warnkową (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata. Nowy balon (z ryc.) — Lamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką (z ryc.) — Dzień dobry, wiersz przez W. K. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Nie udało się, komedycja w jednym akcie. — Lamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII wieku, przez Annę Zielińską.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

Stasiowi W. poświęca autorka.

Rozdział I.

Słońce wschodziło nad Brzezinkami. W wiosce zapanował ruch. Drzwi chat otwierały się jedne za drugimi, dziewczyny biegły z wiadrami po wodę, chłopcy wytaczali wozy i zaprzęgali do nich swoje małe koniki, gospodynie, dbałe o dobytek, zaglądały do obór, chlewów i ogrodów.

Z chaty starego Łukasza wyszedł Wojtaszek, uśmiech rozjaśnił jego błękitne oczy, pobiegł do obórki, a wypędziwszy z niej dwie krowy i cielątko, zrobił nad nimi znak krzyża świętego. Nauczyła go matula, że zawsze trzeba każdą robotę z Bogiem zaczynać, zapamiętał to sobie. Czy to jemu opieka Boska nie potrzebna? dałby to sobie radę, żeby mu Pan Jezus nie pomagał? Przecież mu się mogły krowy porozchodzić, zginąć w lesie, lub utopić w wartkiej rzece.

Dotąd nic mu się złego nie zdarzyło, jego Krasula i Łysa pasły się spokojnie, a on mógł siedzieć całymi godzinami na łące, albo nad rzeką, grać na skrzypkach, patrzeć w niebo i myśleć, myśleć bez końca!

O czym myślał Wojtaszek?

We wsi była szkoła, ale Wojtaszek do niej nie chodził, nie miał czasu. Latem pasał bydło, zimą robił w chacie wszystko, co było potrzebne, i drzewo rąbał na opał i bydło oprzątał i ziemniaki skrobał!

A jakżeby chciał pójść do tej dużej, widnej sali, usiąść z dziećmi na ławce i słuchać co nauczyciel opowiadał, albo dostać się do czarnej tablicy, co stała na kiołkach pod ścianą, wziąć kredę do ręki i pisać litery!

Raz w niedzielę, gdy nauczyciela nie było, zakradł się tam z Antkiem Kałubką! Boże! cóż to za rozkosz! Gdyby mu pozwolono, cały dzień pisałby i pisał!

Z pod niewprawnej ręki wychodziły krzywe litery, Antek zanosił się od śmiechu i ustawicznie trzącał go w łokieć.

— Wojtaszku, nie tak — krzyczał za uchem — nie umiesz pisać liter, pisz lepiej cyfry; patrz, to czwórka, a to zero, jedynka, trójka!

— Daj — mówił Wojtaszek, podskakując z niecierpliwości, ja także spróbuję, może potrafię!

I naśladować marny wzór towarzysza, kreślił drżącą ręką cały szereg czwórek, wtem Antek huknął mu za uchem:

— Nauczyciel idzie!

Wystraszeni rzucili kredę i wybiegli z izby.

Później już ani razu nie był w szkole. Pocięchą Wojtaszka były skrzypki, jedyna pamiątka po zmarłej matuli. Kupiła je na jarmarku, a dając mówiła:

— Graj Wojtaszku na chwałę Boską i ku własnej uciecze, jak podrośniesz, uczyć się będziesz u organisty.

Wojtaszek wziął skrzypki z radością, a że miał do muzyki równą ochotę, jak do książki, z pod smyczka wysnuwał różne melodey skoczne, rzewne i nabożne.

Były to najszcześniejsze chwile w życiu chłopca, ale trwały niedługo. Jakaś ciężka niemoc zmogła matulę, chorowała długo, a w końcu zanieśli ją na mogiłki.

Wojtaszek i jego młodsze siostrzyczki, pozostali sierotami. Ojca stracili dawniej. W chacie mieszkał z nimi stryj Łukasz z żoną, grunt był niepodzielony, więc po śmierci brata on gospodarował, a nie mając dzieci, kochał tych troje, jak swoje własne. W parę miesięcy po śmierci bratowej i on zaniemógł, dokuczala mu duszność w piersiach. Stryjenka zaprowadziła nowe rządy. Nie była to zła kobieta, lecz dla dzieci wymagająca i surowa, cały dzień słycać było jej głos gniewny, lający dzieci lub kłócący się z Łukaszem. Ten ostatni miał ochotę posyłać Wojtaszka do szkoły, lecz Łukaszowa powiedziała, że nie, bo chłopak w domu potrzebny. Wojtaszek cierpliwy i posłuszny znosił z uległością gniew, a często i razy stryjenki.

Co rano wypędzał bydło w pole, wykonywał sumiennie wszystkie zalecane mu prace, często tylko wdychał do książki.

W jeden z takich dni wiosennych, ciepłych i jasnych, kazano Wojtaszkowi wcześniej przypędzić bydło do domu. Łukaszowie wybierali się na odpust do Częstochowy.



Wojtaszek miał pilnować chaty i małych siostrzy-
czek, trzyletniej Wikci i starszej od niej Marysi.

— A siedź w chałupie i krokiem na wieś nie wy-
chodź — łupominała Łukaszowa — pilnuj dzieci i do-
bytku.



Wojtaszek przyrzekł i byłby
z pewnością polecenie spełnić,
gdyby niespodziewanie nie
przyszła mu nieszczęśliwa myśl
do głowy. Stryjenka obieliała
chatę czyściutko. Możeby so-
bie przypomnieć, jak to Antek
pisał litery na tablicy. Miejsca
dużo, ściana taka równiutka! —
Zastrugał cienko węgielek, i z
uśmiechem jął pisać w szeregu
znane mu litery.. Jakiż to
przyjemny dzień był dla Woj-
taszka! Wszystkie ściany za-

pisał, tem co umiał, bo i czwórki i trójki wystąpiły, a póź-
niej wziął sobie skrzypki i tak grał, grał od serca, iż
zdawało się, że to granie musi chyba do nieba dolecieć,
a Najświętsza Paniienka wysłucha jego prośby.

(d. c. n.)

Dzień Dobry.

Hej! wstawajcie żywo dzieci,
Już słońeczko dawno świeci,
Brzydko długo spać, dziateczki,
Czas już wziąć się do książeczki.

Dzień dobry wam, dzień dobry wam!
Niechaj każde prędko wstanie,
Zmówi pacierz, zje śniadanie,
Z ojcem, z matką się nacieszy,
Do nauki chętnie spieszy.

Dzień dobry wam, dzień dobry wam!
Czas przy książce szybko leci,
Pamiętajcie o tem dzieci,
I niech każde z was w to wierzy,
W pracy, w cnocie szczęście leży.

Dzień dobry wam, dzień dobry wam!

W. K.

Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

V. Żabka drzewna.

Chciałem złapać zieloną żabkę, wsadzić ją do sło-
ika z wodą i zanieść do domu.

Kolega mój opowiadał, że trzeba wstawić dra-
binę do słoja a żabka wchodząc lub schodząc, za-
stąpi termometr, i będzie przepowiadała deszcz i pogodę.

Otóż złapałem ją. Jaka przyjemna w dotknięciu, nie-
ma na sobie tego nieprzyjemnego płynu, ani krostek jak inne
żaby. Oglądam jej łapki: o! jakie ma długie palce! a czy
ma ona poduszeczki? Ma, i to gąłkowate — wiem, wiem,
chciałabyś pójść zaraz na drzewo, ale tymczasem w sło-
iku zamieszkas; dam ci owadów pod dostatkiem, możesz
ich choć po 100 na dzień zjadać. A jakże spało ci się
przez zimę w mule, powiedz żabko?

A ona zamiast odpowiedzi — smyrg do wody i po-
płynęła. Rzucam się za nią, wsuwam rękę do wody,
a wtem coś mnie chwyta za palec, ale tak boleśnie gry-
zie, że zaczynam krzyczeć. To żuk jakiś uczeplił mi się,
a tak mocno, że żadną siłą oderwać go nie mogłem.
Krzyczę ciągle, w końcu z bólu tracę przytomność i nie
wiem, na czemby się skończyło, żeby nie poczciwy staru-
szek. Posłyszał z daleka mój krzyk i pospieszył na ratu-
nek; zgniół żuka, a był to pływak, przyniósł wody w kub-
ku, zanurzył mój palec i zaczął mnie uspokajać.

Nie wiem, czy z przestachu, czy z bólu, ale drża-
łem cały i nie mogłem powstrzymać się od płaczu. Po-
cziwy żebrak głaskał mnie po głowie i zagadywał:

— Powiadam ci, że niema większego okrutnika; wszyst-
kim stworzeniom dokucza: kijankom ogony odgryza, ry-
bom, ślimakom, pijawkom szkodzi jak może. A widziałeś
kiedy trytony?

— Nie — odpowiadam.

— Widzisz! a ja je znam i wiem, gdzie przebywają,
niedaleko stąd, w Wierzbnie, chcesz, to cię zaprowadzę?

— Dobrze, dziadku, ale chyba jutro, bo dziś ręka
mnie bardzo boli i muszę się śpieszyć na obiad.

— Jutro? Niech i tak będzie. A teraz już cię pe-
wnie nie tak boli? No, to śpiesz do domu, a jutro na
trytony zapołujemy.

NIE UDAŁO SIĘ.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE
przez Nagodę.

OSOBY:

Jaś, Anđzia, Karolek. (rodzeństwo).
Staś (ich brat stryjeczny).

SCENA I.

Jaś, Anđzia i Karolek.

Jaś. Słuchajcie, macie wy dobrą pamięć?

Anđzia. Ja mam wyborną.

Karolek. Mnie się tylko łacina głowy nie trzyma.

Jaś. Ej, kto tam o łacinie myśli, ja ci się pytam,
czy pamiętasz, jak uas Staś rok temu wyprowadził
w pole?

Anđzia. O, pamiętam, jak to się przebrał za jakie-
goś starego jegomościa i przyszedł do nas niby oglądać
mieszkanie.

Karolek. Które wcale nie było do wynajęcia, bo
myśmy tak tylko wywiesili kartkę na prima-aprilis.

Anđzia. A, pięknie się nam udało, niema co mó-
wić, takeśmy się nastraszyli tego jegomościa.

Jaś. Otóż ja przyrzekłem sobie, że tego roku odwdzięczę się Stasiowi i ja jego znowu wyprowadzę w pole, ale to tak porządnie!

Karolek. Nie tak to łatwo ze Stasiem, to sprytna sztuka.

Jaś (z fanfaronadą). Aha, sprytna! ale trafiła kosa na kamień! Zobaczymy, który z nas sprytniejszy. Wy tylko pamiętajcie, gdy on tu przyjdzie po tę książkę dla cioci, w niczem nie sprzeciwiać się moim słowom: najlepiej milczcie i kiwajcie tylko głowami, a ja już sobie dam radę. *(słychać dzwonek).*

Ańdzia Może to on?

Jaś. Z pewnością. O zakład, że ja go nietylko wyprowadzę, ale nawet wywiozę w pole — tak się przejedzie, że aż miło.

SCENA II.

Ciż sami. Staś.

Staś (wchodząc). Jak się macie! co słychać u was?

Jaś. O, słychać wielką nowinę, stryjcio Kazio przyjeżdża!

Staś (z radością). Doprawdy? kiedy?

Jaś. Teraz, zaraz! popołudniowym pociągami. I nawet telegrafował, żeby który z nas po niego na kolej wyjechał, bo ma strasznie dużo pakunków, ale rodzice powiedzieli, że my jeszcze nie umiemy sobie dać rady, więc nie będziemy stryjciowi żadną pomocą. i kazali tobie powiedzieć, żebyś najlepiej ty wyjechał.

Staś. Ależ wyjadę, z największą przyjemnością. *(Nagle spogląda podejrzliwie na Wańdzię i Karolka, którzy nie mogą wytrzymać, duszą się od śmiechu. Do Ańdzy).* Więc wujcio do was telegrafował?

Ańdzia (kiwa głową).

Staś (patrząc przenikliwie na Karolka, do niego). Kiedy nadszedł telegram? dziś?

Karolek (kiwa głową).

Jaś (skwapliwie). Przed godziną.

Staś. Dlaczegoż mi Karolek nie odpowiada, tylko ty?

Jaś. O, bo on... jego nie było właśnie w domu, ale telegram czytali i on i Ańdzia.

Staś (spoglądając na zegarek). Kiedy tak, to trzeba się zaraz wybierać, pierwsza dochodzi.

Jaś. Pewnie na kolej pojedziesz tramwajem, a z powrotem to może piechotą *(opamiętywując się).* To jest chciałam powiedzieć, z powrotem razem ze stryjciem, jego dorożką.

Staś (dobrodusznie). Tak, naturalnie — powrócę razem ze stryjciem. No, idę już — do widzenia *(idzie ku drzwiom, nagle uderza się w czoło).* Ach, mój Boże, zapomniałem na wieki, szkoda, że się tak złożyło.

Jaś. Co takiego?

Staś. Ej, nic ważnego, ale zawsze szkoda, bylibyśmy się zabawili.

Ańdzia i Karolek. Zabawili? Jakim sposobem? Kiedy?

Staś. Bo to mama przysłała mnie tu właśnie z zapytaniem, czy już umiecie wszystkie lekcye na jutro...

Jaś. A jeżeli umiemy, to co?

Staś. Jeżeli umiecie, to miałem wprost stąd pójść do kasy teatralnej i wziąć lożę na popołudniowe przed-

stawienie — mama byłaby z nami wszystkiemi poszła na Krakowiaków i Górali — lub Twardowskiego.

Ańdzia (z radością). Do teatru, o, co za szczęście!

Karolek. Ja tak marzyłem o tem, żeby dziś być w teatrze.

Staś. I ja miałem wielką ochotę, ale cóż robić, kiedy się tak złożyło, to trzeba odżalować.

Jaś. Jakto, odżalować, dlaczego?

Staś. No, naturalnie! skoro mam jechać na kolej po stryjcia, to nie mogę iść do teatru po bilety — a zresztą nie wypada, żebyśmy szli do teatru, gdy stryjcio do nas przyjedzie.

Ańdzia (do Karolka). A to się nam Jaś przysłużył swoim pomysłem!

Karolek. Jego koncepta to zawsze takie mądre; i jeszcze nam nie pozwala nic mówić, tylko głowami kiwać!...

Jaś (zmieszany). Ależ... Stasiu... możeby to się dało jeszcze pogodzić jedno z drugim.

Staś. Ależ! nie wypada w żaden sposób; nie zatrzymujcie mnie, bo się spóźnię. *(Chce iść ku drzwiom).*

(d. n.)



METAGRAM.

Przez **h** niepożądany bywa w każdym względzie.
Przez **s** w każdej potrawie znajduje się wszędzie.
Przez **m** to drobny owad ze złej sławy głośny,
Wielu rzeczom szkodliwy, a zawsze nieznośny.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

dla C. Led...

- Pierwszy wyraz i pierwsze litery, utworzyć mają nazwę miejscowości w Tatrach.
- 2) Postać biblijna
- 3) Miasto na Kreście.
- 4) Ptak drapieżny.
- 5) Ciało lotne, powstałe z wrzącej wody.
- 6) Wykrzyknik.
- 7) Przyimek.
- 8) Samogłoska.

KWADRAT MAGICZNY (uł. Grażyna).

W powyżej zamieszczonym kwadracie należy rozstawić liczby od 11—26 tak, by suma liczb we wszystkich szeregach pionowych, poziomych i dwóch przekątnych wypadła 74.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Metagramu: Koń — toń — woń.

Łamigłówni w trójkącie:

J a s k ó ł k a
A b r a h a m
S a t u r n
K l o w n
Ó s m y
Z u k
K u
A

Skrzynka do listów.



Grażynie. Wszelkie objaśnienia i informacje dajemy chętnie naszym czytelnikom, ale wyszukiwać wyrazów zaczynających się na L a kończących się na U nie możemy; kto chce być autorem łamigłówek, niech sam łamie sobie głowę nad wynalezieniem odpowiednich słów.

Wyjaśnienie **Jadzi Stulgńskiej** nadeszło po wydrukowaniu sprawozdania z konkursu, więc nie mogliśmy naprawić twego roztargnienia i pomieścić nazwiska pod odpowiednią do wieku rubryką. Na raz następny będziesz uważniejszą w wypełnianiu warunków konkursowych.

Halince Charsz. Ogłoszenia o każdej nowej sztuce wystawionej w teatrze marionetek podajemy. Gdybyś nie otrzymała karty pochwalnej, to musiałybyś na raz przyszły więcej starań dolożyć.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: M. Bemski, Aleksander A., Żabka z nad Rosi, Talek, Kmicic, F. N., Sosnowiczanka, Grażyna, Witold Stefański, Machega, Biała Kotka, Ciekawska, Jadzia Budrewiczówna; Żuczek ze Lwowa (mylnie wydrukowany w zeszłym numerze).

Łochozwiance. Więc doprawdy takbyś pragnęła poznać mnie osobiście, nie przypuszczałam, że jesteś taka ciekawa! Zapuszczając się w domysły co do mojej osoby, czy nie obrałaś błędnej drogi? Czy w istocie masz mnie w sierpniu poznać? Polecenie twoje jeszcze w zeszłym numerze spełniłam, ale odpowiedzi dotąd nie mam. Czarnuszcze za pamięć dziękuję, a twojej nadal się polecam.

Prządka złotych nici zapytuje mnie o nazwisko i adres *Lochozwianki*. Mogę to uczynić tylko za zgodą tej ostatniej, ale i ciebie o te same wiadomości proszę. Nie darmo obrałaś sobie taki niezwykły pseudonym, bo widzę, że gdy zasiądziesz do złotej kądzieli, snujesz z niej poetyczne myśli, które roją się w twej młodej głowie, jakbyś była zasluchana w dźwięki fujarki pastuszej o zmroku letniego wieczora. Listy adresowane do redakcyi z dopiskiem dla Jaskółki, zawsze mnie dojdą.

Pufci. Nie zrażaj się przeciwnościami, mając zawsze w pamięci, że wytrwałością i pracą dochodzimy celu. Nie otrzymałaś pierwszej nagrody raz i drugi, probuj trzeci i czwarty, a zobaczysz, że twoje dobre chęci stracone nie będą. Są dwie powieści o brankach, jedna M. Zielińskiej p. t. *Branka Litewska*, druga P. Krakowowej, *Branka tatarska*. Żadaną książkę wysłamy. Za miły list dziękuję, a proszę donieść mi co słyhać w waszych stronach, każda stamtąd wiadomość jest mi bardzo miłą.

Dziękuję ci **Przekornatko** i za pierwsze wiosenne kwiatki i za twoje miłe zaproszenie na niedzielę do was. Chętniebym pofrunęła w ten las cienisty, który mi tak ponętnie opisujesz, ale czasu nie mam, a do wakacji jeszcze daleko! Dobrze robisz, szukając w około siebie dobrych przykładów, a jak to słusznie zauważyłaś, mała pszczołka może służyć za wzór pracowitości. Naśladowuj ją i dalej, a przekonasz się zawsze, że każda rozrywka stokroć jest miłsza, gdy ją sumiennie spełniony obowiązek poprzedzi. *Przekornatka* bardzo pragnie poznać się z *Łochozwianką* i *Białą Myszką* i obydwoim pozdrowienia przesyła.

Blondynce z nad Dochny. Obszerne listy witam zawsze z prawdziwą przyjemnością, bo tylko przez nie można się lepiej z sobą zapoznać. Bardzo się cieszę, gdy nasi czytelnicy czytują z takim zajęciem „Wieczory,” redakcyja dokłada wszelkich starań, by was kształcić i rozrywać w czasie wolnym od nauk. Siatki do łapania motyli są na różne ceny, począwszy od 25 kop. Książka p. t. *Wskazówki do zbierania krajowych motyli, oraz urządzenie zbiorów amatorskich*, z 4 tablicami kolorowymi i rycinami w tekście, w oprawie rub. 1 kop. 20. Podręcznik botaniczny wyjdzie wkrótce, kosztować będzie 60 kop. Puszki do zbierania roślin od 75 kop. *Pod.* za pamięć dziękuję.

Wiochnie. Myślałam, myślałam i nie zgadłam, która z dawnych korespondentek pod tym nowym pseudonimem odzywa się do mnie; ułatw mi przypomnienie. Na wakacje przyjedziesz pewno do kraju. Oczekiwać będę następnego listu, w którym obiecujesz opisać spędzenia dnia na pensyi. Kartkę pošlę ci chętnie, ale nie mam adresu.

Ciekawskiemu. Listu nie otrzymałam, a raz tylko kartę, za którą w numerze 17 nie omieszczałam ci podziękować. Czy otrzymałaś już kartę pochwalną za kaligrafię? Prenumerata opłacona do końca roku. Musisz się uczyć pilnie i być bardzo pracowity, jeżeli pomimo tak młodego wieku myślisz już o zdawaniu egzaminów. Ale przedtem, spodziewam się, że jeszcze do mnie napiszesz.

Wypadkiem list **Czarnego Sępa** i jego siostrzyczki *Akseny* dostał się między korespondencyę już odpisaną i przeleżał tam dotąd. Gdym go znalazła zmartwiłam się srodze, że wam nie odpisała, postaram się to wynagrodzić i gdy znowu zechcecie do mnie napisać, bez żadnej zwłoki odpowiedź otrzymacie. Zadania będą wkrótce pomieszczone. A wy, mam nadzieję, zechcecie być moimi stałymi korespondentami.

Serdecznie współczuję, **Machego**, w twojem zmartwieniu o zdrowie mamy, ale Pan Bóg pocieszy tak dobrego synka, który nocami czuwał u łóżka matki i wróci jej zdrowie. Stałym korespondentem nazywamy takiego, który nie poprzestając na jednym lub dwóch listach, pisuje do mnie stale przez dłuższy okres czasu. Ciebie i braciszka twego, jakbym go osobiście znała, do ich rzędu zaliczam.

Zapytujesz, **Pojato** o mój adres — z tego widzę, że masz ochotę pisać do mnie, uprzedzam cię więc i witam jako nową korespondentkę. Adresuj do mnie wprost do redakcyi, bo tam listy odbieram.

Witold Stefań. jako nowy czytelnik „Wieczorów,” po raz pierwszy odezwał się do mnie w kilku słowach. Na raz następny spodziewam się dłuższego listu, który będzie początkiem częstej wymiany myśli.

Michasiowi Czudow. za kartkę z miłymi fotografiami wazszemi, dziękuję, kiedyż przyjedziecie do Warszawy? Również dziękuję za ładną kartkę z Raguzy od *Podlotka*.

Pozdrowienia dla wszystkich od

Jaskółki.

Żarcik na zakończenie.

— Kaziu, nie biegnij tak prędko pod górę, bo się zmęczysz!

— Ależ, mamusiu, gdym zbiegał z tej góry, tom się wcale nie zmęczył, z przecież teraz to ta sama droga.

Machega.

Na Kolonie Letnie złożyli: Jadzia i Wańdzia Ambr. rub 12, Jadzia F. rub. 1.

Na przytułek św. Zofii: Zosia S. kop. 15, Idasia S. k. 15, Zdzisł. H. kop. 25, Zofia z synową kop. 45, Zofia R. rub. 1, Renia Kuszelewska rub. 1, Halinka Borysowiczówna rub. 1, Dziunia Krasowska rub. 1, Zozia z Szanghaju rub. 1, Zosia Br. kop. 30.